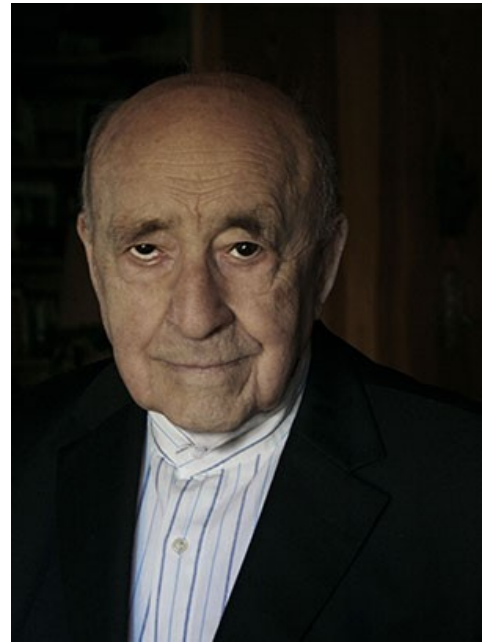


Panie Profesorze, zacznę od sprawy, która stała się ostatnio głośna. Po raz pierwszy przyjechał do Polski Patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl I i podpisał z Przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski, Arcybiskupem Józefem Michalikiem, deklarację, która jest apelem do polskiego i rosyjskiego narodu, o pojednanie. Czy Pan Profesor, jako znawca Rosji i jej kultury uważa, że był to ważny krok i w dobrym kierunku?

Uważam ów krok nie tylko za ważny, ale przede wszystkim za krok w przyszłość, w kierunku dobrych i trwałych wzajemnych relacji. Krok 'pozostawiający' za sobą przeraźliwą przeszłość, która była zapewne jednym z przedmiotów rozmów z patriarchą.

Jestem zdania, że ogromną zasługą tego apelu będzie wstrząśnięcie sumieniami tych Rosjan, którzy zapomnieli o okrutnych wydarzeniach z dziejów rosyjsko-polskich. Podkreślam, rosyjsko-polskich, a nie tylko polsko-rosyjskich. Otóż ci Rosjanie dowiedzieli się nie tylko o sprawach, o których do tej pory nie mieli pojęcia, ale - i to dla mnie jest niezwykle ważne - nadarzyła się wreszcie okazja by przekonać wielu Rosjan do słuszności naszych pytań i wątpliwości. Taka możliwość pojawia się wówczas, kiedy nie rozmawia się z władzą, ani z hierarchiami, ale z ludźmi, z przedstawicielami inteligencji i średniej klasy rosnącej w Rosji w siłę. Nie ma - moim zdaniem - lepszego sposobu na poprawienie stosunków między Rosjanami a Polakami. Musimy szukać właśnie takich, innych niż dotąd, rozmówców wśród Rosjan, którzy zrozumieją zawikłaność i trudne sprawy z polsko-rosyjskiej i rosyjsko-polskiej przeszłości.



Wróćmy teraz do głównego wątku naszej rozmowy - do Pańskiej biografii. Pana życiorysem można by obdzielić wiele osób. Skąd wzięła się u Pana Profesora ta fascynacja Rosją, kulturą rosyjską, literaturą?

Moja matka uczyła języka polskiego i z tego się utrzymywała, jako panna. Natomiast język rosyjski znał doskonale mój ojciec. Tyle, że w domu nie mówiło się po rosyjsku. To dłuższa historia, więc opowiem może po kolei.

Pochodzę z Łodzi, a tam, jak wiadomo, prawie wszyscy zajmowali się włókiennictwem. I mój ojciec był zrazu technikiem włókienniczym, a po latach dokończył się do stopnia inżyniera. Pochodził z żydowskiej, spolonizowanej do gruntu rodziny. Uczył się w Łodzi i w Alzacji, jeszcze wtedy niemieckiej, gdzie ukończył, z bardzo dobrym zresztą wynikiem szkołę dla techników włókienniczych. Wrócił do Łodzi i miał rozpocząć pracę w fabryce, ale wybuchła wojna i Rosjanie wcielili go do carskiej armii. Podzielił los wielu młodych chłopaków z Kongresówki. Okazał się sprawnym żołnierzem i doszedł do stopnia starszego sierżanta piechoty.

Otrzymał też godność kawalera Trzech Krzyży Świętego Jerzego. Dlatego noszę imię Jerzy. A wojenne dzieje ojca nie skończyły się w carskiej armii. Kiedy tylko Kiereński zezwolił na tworzenie dywizji narodowych, powstały jednostki polskie, między innymi IV Dywizja Strzelców Polskich dowodzona przez generała Żeligowskiego. Ojciec wstąpił do niej razem ze swoim dzielnym bratem Mieczysławem, później znanym oficerem i piłsudczykiem. I jako żołnierz IV Dywizji Strzelców Polskich ojciec brał udział w zajęciu i okupacji Odessy - o czym, co dziwne, dzisiaj się w Polsce nie pamięta. A to właśnie polscy i francuscy żołnierze opanowali zrewoltowaną Odessę i, po wygaszeniu rewolucyjnego chaosu, uczynili z niej na pewien czas najweselsze i zarazem zupełnie niebolszewickie miasto. Po powrocie do wolnej już Polski ojciec walczył jeszcze w wojnie polsko - bolszewickiej, w szeregach 28. Łódzkiego Pułku Piechoty. Po kampanii 1920 roku wrócił nareszcie do cywila. Ale, jak wspominała mama, kiedy się poznali, ojciec wciąż nosił czapkę z polskim orzełkiem i mundur. Wkrótce zostali małżeństwem.

Tradycje wojskowe w rodzinie Pana Profesora, to także stryj, Mieczysław Birnbaum, niezmiernie zasłużony oficer i zaufany marszałka Piłsudskiego.

Tak, mój stryj, Mieczysław Birnbaum był nie tylko legionistą, ale też piłsudczykiem, zaufanym i lubianym oficerem marszałka Piłsudskiego. Był szefem wydziału wojskowego Ministerstwa Spraw Wojskowych i zajmował się kontrwywiadem antybolszewickim. Znał doskonale przywódców SDKPiL i język rosyjski. Na zlecenie Marszałka podejmował kontakty z Polakami służącymi po sowieckiej stronie. Piłsudski wiedział, że stryj potrafi podczas takich rozmów wydstać różne wiadomości, ważne dla interesów i bezpieczeństwa młodego państwa. Wspomnę o jednej misji stryja. Kiedy w sierpniu 1920 r. Tuchaczewski zdobył Radzymin i wydawało się, że przedzie Wisłę i może nawet zdobyć Warszawę z naszej stolicy został wyprawiony pociąg dyplomatyczny do Mińska. Jego komendantem był właśnie mój stryj (wówczas podporucznik). Znał rosyjski znakomicie, co ułatwiło przebijanie się przez front. Nie szło łatwo, pomimo statusu dyplomatycznego, ochrony, a nawet pancernych wagonów. W końcu jednak dojechali do Kobrynia. I tam, w czasie postoju, gdy trzeba było już wymienić lokomotywę na szeroki tor, stryj dowiedział się, że Tuchaczewski ucieka spod Warszawy i jazda do Mińska nie ma sensu. Kazał zawrócić do Warszawy, ku zdumieniu wielu dyplomatów, którzy już rozprawiali o warunkach kapitulacji Warszawy. W 1921 roku, podczas negocjacji traktatu pokojowego z Sowietami w Rydze mój stryj był szefem ekspertów wojskowych Polskiej Komisji. Stryj Mieczysław Birnbaum został zamordowany w Katyniu i tam jest pochowany jako polski oficer.

Panie Profesorze, wspomniał Pan, że w domu nie mówiło się po rosyjsku. Więc jak to było z tym było, kiedy Pan poznał tak doskonale i dogłębnie język i literaturę rosyjską?

Tak, to prawda, w moim domu nie wolno było ani słowem odezwać się po rosyjsku. To była wola mojej mamy. Ale i ona sama, w chwilach czułości, zwracała się do ojca "chłopak", "chłopce" i tak dalej. Natomiast w chwilach gniewu nie mówiła inaczej jak "soldat", no bo ojciec miał za sobą te cztery lata służby w rosyjskim wojsku. Tak więc w domu rodzinnym pierwszy mój kontakt z językiem rosyjskim ograniczał się do słuchania od czasu do czasu ... żołnierskich piosenek, które ojciec nucił w łazience przy porannym goleniu. Mama przymykała oko na te rosyjskie śpiewki łożniowe. A ja też nie wiele z nich wówczas rozumiałem. Także w latach edukacji gimnazjalnej nie miałem kontaktu z językiem rosyjskim. Jako syn działacza Polskiej Organizacji Wojskowej i dzięki pomocy pułkownika Więckowskiego, adiutanta marszałka Piłsudskiego dostałem się do dobrej szkoły prywatnej - Polskiego Społecznego Gimnazjum Męskiego w Łodzi i tam też zdałem maturę, jeszcze przed początkiem drugiej wojny. Wspomnę tylko, że w tej szkole języka polskiego uczył Mieczysław Jastrun. Także przed wojną zdążyłem wstąpić na filozofię na Uniwersytecie Warszawskim, chyba z fałszywej pychy. A wzięło się to stąd, że po pewnym odczycie poznałem Tadeusza Kotarbińskiego i on mnie zachęcił, abym przyjechał po maturze do Warszawy: 'Niech się kawaler zgłosi do mnie, pogadamy o filozofii'. Tak właśnie było i zacząłem nie od medycyny, nie od rosyjskiego, ale od studiowania filozofii u prof. Kotarbińskiego.

A Pańskie losy podczas II wojny światowej, są już ściśle związane z Rosją.

Kiedy wybuchła wojna dla mnie, jako byłego już studenta filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, punktem zbornym była komenda 36. Pułku Dzieci Warszawy, do którego nie dotarłem. Mój pułk pierwszego dnia wojny został wysłany w kierunku na Wieluń, do miasta zbombardowanego przez Niemców w pierwszej kolejności. W komendzie w Warszawie jakiś mądrała, który mnie przyjął powiedział: 'No panie, pan się spóźnił, a za chwilę my zwyciężymy. No to niech pan już tu zaczeka, a jak nic z tego nie wyjdzie, to pojedziemy na Wschód'. Ten 'Wschód' mi zapachniał groźnie. Pamiętałem bowiem przestrogi stryja Mieczysława, mojego ówczesnego mentora, który często powtarzał: 'Niech cię Pan Bóg broni przed zatrzymaniem się we Lwowie, w Łucku, czy w Kowlu. Nigdzie tam, gdzie przyjdą Rosjanie, bo za pierwszym szeregiem żołdaków przyjdą chmury NKW-dzistów (nazywał ich 'czekistami') i zaraz zabiorą się do porządków, do wyłapywania ludzi z tajemniczymi nazwiskami, jak nasze. No, ale jednak w 1939 r. znalazłem się z moim ojcem na wschodzie, na Ukrainie. Schroniliśmy się i, jakby to powiedzieć, poddaliśmy się pod dobrowolną niewolę. Nie była to prawdziwa niewola. Nie mogę powiedzieć, że przeżyłem ciężkie męki w jakimś obozie. Tak nie było. Przede wszystkim cywile i szeregowcy byli często zwalniani. Zwalniano zwłaszcza ludzi ze wschodu, z kresów i oni wracali do swoich miasteczek i wsi. Ja dostałem się do kopalni "Krasnopol" we wschodniej Ukrainie w województwie woroszyłowgradzkim. Ten Woroszyłów był wtedy u szczytu popularności, a jego imieniem było nazwane miasto i województwo. 'Krasnopol' to była trudna kopalnia. Musieliśmy się przeciskać wąskie przejścia, w których mieściła się tylko kolejka, a raczej same tylko wagoniki bez kolejki. Bo wagony pchaliśmy i ładowaliśmy ręcznie. Tory były niesłychanie wąskie, chybotałe, a węgiel był rąbany w sporych kawałkach. Co sto, dwieście metrów wagoniki zlatywały z tych kiepskich szyn. Musieliśmy wówczas rozładować cały węgiel z wagonika, postawić go z powrotem na szynach, a następnie znowu napełnić kruchami węgla. I tak je przepychaliśmy, od przeszkody do przeszkody. Ale w gruncie rzeczy nie było tak źle. W tych wąskich korytarzach nie mieliśmy właściwie nadzoru. Udawało się przechytrzyć Rosjan. Ojciec mój, ze względu na znajomość języka rosyjskiego został zatrudniony do prac piśmiennych i przez dłuższy czas wypisywał meldunki: ile każdy z nas wyrobił i oczywiście zwiększał masę tego urobku. Dzięki temu, zamiast czterystu gramów ciemnego chleba, który, po pewnym czasie nawet zaczął nam smakować, dostawaliśmy po sześćset, a nawet siedemset gramów i całą, blaszaną miskę zupy kartoflanej. Niekiedy tylko, w sowieckie święta, dawali nam zupę fasolową. Po pewnym czasie dołączyła do nas matka i siostra. Wydostały się z Łodzi i dotarły do Siemiatycz, gdzie je ograbiono. Zrobili to Niemcy, którzy, co prawda nie byli jeszcze tak krwiożerczy wobec ludzi, którzy chcieli przedostać się do Rosji - nie zabijali, ale grabić, owszem. Matka miała przy sobie list od ojca, z numerem 'naszego' obozu w Krasnopolu. Pokazała go Niemcom, a oni na to: 'Idźcie przez zamrznięty Bug'. I tak cudem nieomal przedostały się do Rosji. A Rosjanie od razu je aresztowali: moją czternastoletnią siostrę i mamę. W więzieniu, jakiś zacny sowiecki lekarz rozpoznał u mamy niesłychanie rzadką chorobę zwaną morbus Werlhof, która objawia się brakiem białych ciałek krwi i powoduje częste krwotoki. Ten lekarz chciał mamę zabrać do Moskwy: 'O, to ciekawa choroba, pošlemy panią do stolicy'. "A ja nie chcę do stolicy - sprzeciwiła się mama - tylko do Krasnopolu, tam jest mój mąż i syn, pracują w kopalni". W końcu lekarz się zgodził, nie wysłał mamy do Moskwy i zaopatrzył w zaświadczenie stwierdzające u niej tę rzadką chorobę. I w ten sposób nasza rodzina w komplecie znalazła się na Ukrainie. Tam nauczyłem się już nieco języka rosyjskiego. Ale nie był to język poprawny, ot taki, jakiego można się było nauczyć w kopalni. W roku 1941, kiedy Majski, ambasador sowiecki w Londynie i generał Sikorski zawarli umowę dość prędko wypuszczono mnie z tej kopalni. Miałem wtedy dziewiętnaście lat i wnet nauczyłem się rosyjskiego. Pierwszą moją nauczycielką była cudowna dziewczyna z Leningradu, Wiktoria Simonowa, która przeżyła dwa lata w łagrach. Po aresztowaniu siedziała w obozie o lżejszym rygorze, a potem stała się rzecz przerażająca: posłaną ją do ciężkiego obozu za koło polarne, dalej niż Murmańsk i Archangielsk. Było przeraźliwie zimno, a jej dano tylko watówkę, kurtkę bez kołnierza; mróz niemal przeżarł jej oba policzki, wskutek czego nie mogła w ogóle ani pić, ani jeść. Na szczęście jej matka, świetny chirurg, za cały majątek zdołała wykupić nieszczęsną córkę od sprzedajnych urzędników. Wiktoria wróciła z obozu. A jej ojciec, stary anarchista, zginął w obozie. Co prawda przez jakiś czas przysyłali wiadomości, że w takim to a takim obozie jest, ale zdaje się, już wtedy nie żył. I tę Wiktorię, starszą trochę ode mnie, poznałem już w Tadżykistanie, gdzie zacząłem studia medyczne. Zaprzyjaźniliśmy się. Zamiast opowiadać mi, jak to pomiędzy młodymi, różne dusery, recytowała mi z pamięci cudowne wiersze, których znała całe tomy. Pochodziła wszak z Leningradu, a to było miasto inteligentkie i może właśnie dlatego było tak okrutnie prześladowane przez Moskwę, przez władze sowieckie. Inteligent, to był człowiek podejrzany, inteligentów miano na oku. A to byli ludzie, którzy nawet w czasie głodu prędzej kupili książkę niż chleb. Wiktoria znała setki wierszy Achmatowej, Cwietajewej i Mandelsztama. Słuchając ich uczyłem się języka, nawet więcej, wydawało mi się, że potrafię już mówić po rosyjsku - wierszem. Ale okazało się, że nie wszystko jeszcze umiem. Pewnego dnia zarecytowała mi niezwykły wiersz Anny Andriejewnej, czyli Achmatowej. Już pierwsze słowa dotarły do mnie nie przez ucho, ale przez mózg. Nagle zrozumiałem melodykę rosyjskiego zdania. Zrozumiałem, że nie wolno mi mówić słowo po słowie, tak jak teraz. Tylko w Rosji istnieje konieczna, przyrodzona, toniczna warstwa tego języka. To naprawdę jego wielka zaleta i piękno. Odtąd sięgałem przede wszystkim do poezji. Powieści rosyjskie znałem już

wcześniej po polsku. Chłopak siedemnasto, czy osiemnastoletni w naszym gimnazjum musiał znać Dostojewskiego i innych pisarzy rosyjskich. Nie przeczytałem, co prawda, drugiego tomu 'Wojny i pokoju'- ledwie przebrnąłem przez pierwszy, ciężko mi to szło. Z poezją było łatwiej. Na poezji nauczyłem się języka rosyjskiego do tego stopnia, że zdałem bardzo dobrze egzaminy na medycynie, najpierw w Duszanbe, a po wojnie, już w Moskwie.

Po 1945 roku wrócił pan profesor do Polski, w jakiej roli?

Tak. Wróciłem jako repatriant, a nie jako żołnierz Armii Berlinga. W Wikipedii ktoś napisał o nieznanym mi absolutnie fragmentach mojej biografii, na przykład: 'wrócił do Polski jako oficer Armii Berlinga'. Nic podobnego. Nie byłem nigdy w tej armii. Prosto z tej kopalni w Donbasie pojechałem do Bezułku, gdzie była pierwsza kwatery Andersa. Zdawało mi się, że znajduję tam mojego stryja. Nie wiedziałem, co się stało w Katyniu, że tam właśnie zginął. Potem z Bezułku wlokłem się za Dywizją Andersa, wśród dość wychudzonych, niedokarmionych byłych więźniów, którzy więcej ode mnie przeszli. Mówię o tym bez samochwalstwa. Przeszedłem przez Związek Radziecki doprawdy łagodnie, przez kopalnię i przez romanse ze znawczyniami rosyjskiej poezji. Wśród Rosjan spędziłem dziewięć i pół roku. Nauczyłem się porządnie rosyjskiego i poznałem wiele znanych osób, wśród nich ludzi, którzy później stali się dysydentami, a dziś są wolnymi obywatelami i bynajmniej nie należą do zwolenników Putina. Jak już wspominałem, studiowałem medycynę w Duszenbe, które wówczas nazywało się Stalinabad, a potem w Moskwie. I z Moskwy, chyba to było po trzecim, czy czwartym roku, wróciłem do Polski w 1945 r. Chciałem bardzo spotkać się z rodzicami. Oni wrócili do Łodzi wcześniej, a to za sprawą inżyniera Topolskiego. Pracował dla rządu i poszukiwał po Rosji polskich fachowców, którzy byli w stanie pomóc w odbudowie zrujnowanego przemysłu. Zbierał banitów i deportowanych z całej Rosji, między innymi znalazł mojego ojca i razem z mamą wyprawił ich, za specjalnym zezwoleniem, do Łodzi. Ale ten mój pobyt w Polsce nie trwał długo. Od Jarosława Iwaszkiewicza i od mojego gimnazjalnego nauczyciela języka polskiego - Mieczysława Jastruna otrzymałem listy, które ułatwiły mi powrót do Moskwy, gdzie chciałem skończyć studia medyczne. A kiedy tam przybyłem zaproszono mnie do pracy w redakcji 'Antologii polskiej poezji'. Dało mi to prawdziwą satysfakcję, ponieważ byłem miłośnikiem literatury, a zwłaszcza poezji. Redakcja składała się z dwóch Rosjan, jeden to Głowienchenko, a drugi Puznikow, dyrektor instytutu wydawniczego, a ja byłem trzecim członkiem tego zespołu. Mając rekomendacje Iwaszkiewicza i Jastruna czułem się dość pewnie. Powiedziałem, że nie godzę się na pominięcie w antologii poetów przebywających na emigracji. To ma być antologia poezji polskiej nie od Reja, czy Kochanowskiego, ale współczesnej, nowoczesnej poezji. Nie podobało się, że pojawiają się w niej takie nazwiska jak Leśmian, czy Wierzyński. Przepuścili wprawdzie Tuwima, bo on już był w Warszawie, natomiast postawili znak zapytania przy Słonimskim, bo siedział jeszcze w Londynie. A Słonimski był w Moskwie wcześniej drukowany. W 1941 roku ukazała się 'Antologia Poezji Współczesnej', zawierająca m.in. jego wiersz pt. 'Alarm'. W Moskwie byłem też przez pewien czas korespondentem prasowym, a po ukończeniu w 1947 r. studiów medycznych wróciłem do Warszawy. Tu, oprócz pracy zawodowej, rozwijałem moje zainteresowania kulturalne. Tłumaczyłem na język polski teksty wielu wybitnych pisarzy rosyjskich, brałem udział w życiu teatralnym i byłem przez pewien czas kierownikiem literackim Teatru Narodowego. Parałem się też dydaktyką na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, a ponadto kierowałem zespołem filmowym 'Syrena'. Jak widać moje zainteresowania i prace dotyczyły różnych dziedzin kultury.



Co się stało, Panie Profesorze, że mając tak szerokie pola działania w Polsce Ludowej, opuścił Pan ją w 1969 roku? Co się stało, że Polska Ludowa 'podziękowała' Panu i pozwoliła wyjechać za granicę?

Nie. Ja nie zostałem z Polski wyrzucony. Miałem przecież już dwie nagrody państwowe. Jedną, nawet pierwszej rangi, za jakieś głupstwa, za tłumaczenia. Druga była Nagrodą Ministra Kultury za jakieś tam zasługi, moim zdaniem - bagatelne. Nieważne. Warto jednak wiedzieć, że najlepszą obroną dla ludzi źle widzianych przez władze komunistyczne, był skandal. Skandal, który mógł przysporzyć popularności takiemu niepożądanemu nieszczęśnikowi. Niewątpliwie kluczową sprawą było pozbawienie Leszka Kołakowskiego członkostwa w PZPR w 1966 roku. Ja się tej decyzji sprzeciwiłem i dlatego nie znalazłem już miejsca w ówczesnej rzeczywistości. Pozwolono mi na emigrację na Zachód, ale to już zupełnie inny temat, który trudno zmieścić w jednym wywiadzie. Jeżeli się uda, wrócę jeszcze do mojej działalności na emigracji, m. in do współpracy z rządem włoskim w dziedzinie inicjatyw kulturalnych, do działalności akademickiej, do współpracy z radiem Wolna Europa i z ośrodkiem 'kultury paryskiej' Jerzego Giedroycia. A wracając do sprawy Kołakowskiego. O nim z początku mało kto wiedział. Nikt nie przeczuwał jego prawdziwej wielkości. Ja uważałem go za autentycznego geniusza już na samym początku. Kiedy w końcu wyprosił paszport i wyjechał na Zachód zgłosił się we Frankfurcie do tamtejszego uniwersytetu. Na katedrze filozofii był tam wówczas Habermas, średni filozof...

...ale znany i wpływowy.

Tak. Być może, przepraszam, ale ja go czytałem i uważam za przyzwoitego, ale nie wybitnego myśliciela i filozofa. No i wówczas, kiedy Kołakowski zaczął na tym Uniwersytecie we Frankfurcie, prosił sobie wyobrazić, studenci zagrozili strajkiem jeśli pozostanie na uczelni. Motywowali swój sprzeciw tym, że nie chcą słuchać "ohydnygo zdrajcy", który porzucił lewicowe państwo, za które uważali Polskę Ludową. Dopiero po długiej wędrówce udało się Kołakowskiemu pokonać opory i osiągnąć właściwą mu pozycję. Był w kilku uniwersytetach, aż wreszcie skończyło się na Oxford. Znał biegle nie tylko niemiecki, rosyjski, francuski, ale

przede wszystkim angielski. Powitano go z otwartymi ramionami i pozostał już tam na zawsze, jako tutor, wybitny profesor, honorowany i szanowany..

Jerzy Pomianowski, ur. 13 stycznia 1921 w Łodzi, w spolonizowanej rodzinie żydowskiej, ojciec: Stanisław Birnbaum, matka, Janina z d. Kliger; prozaik, publicysta, znawca kultury i wybitny tłumacz literatury rosyjskiej; przełożył m.in. utwory Czechowa, Tołstoja, Bułhakowa, wiersze Achmatowej, Mandelsztama, Puszkina i niemal wszystkie powieści i dramaty Izaaka Babla. Był m.in lekarzem, urzędnikiem, krytykiem teatralnym, scenarzystą, kierownikiem literackim Teatru Narodowego za dyrekcji Horzycy.

Fotografie: **Judyta Papp** i **Arturo Mari**. Kraków, dnia 5 stycznia 2013 r.